

# HAT YAI

Pociąg ruszył z przejścia granicznego w Padang Besar, po malajsku Wielkie Pole, i z chwilą gdy wtoczył się na terytorium Tajlandii, dało się dostrzec kolosalną przepaść dzielącą te dwa kraje; to tak, jakby przymknąć na chwilę powieki w San Diego i otworzyć je w Tijuanie. Nędza tajlandzkich wiosek, miasteczek, szos, mostów i także pól ryżowych zdawała się bić na głowę nawet najbiedniejsze rejony wschodniomalezyjskiego Terengganu.

Przez otwarte do połowy okna wdzierał się szum rozpędzonego powietrza i łoskot kół uderzających z impetem o szyny. Szum i zapach, pomimo wczesnego rana, ciepłej wilgoci po obu stronach toru, wypełniającej z każdą minutą wnętrze wagonu. U sufitu wirowały metalowe, poczwórne ramiona wiatraków, prześcigając się pomiędzy sobą, jeden na środku i dwa na końcach, tuż przy rozsuwanych drzwiach do sąsiednich wagonów, za którymi stali w kłębach dymu papierosowi palacze.

Rozglądałem się z trwogą po tym wszystkim oczyma odurzonymi światłem, zmrużonymi w kształt wrzeciona od żaru; może nie były to spojrzenia bojaźliwe, lecz zwyczajne, niecierpliwie, poirytowane niedoskonałością przedpotopowego wagonu, brakiem niezbędnej w tych warunkach klimatyzacji, zdradzające utopijne pragnienie, utopijne, bo spóźnione o dwie godziny, gdy wyjechaliśmy z Penangu - iżby zamiast dla biedaków pojechać dalej wagonem dla bogaczy. Niestety, wszystkie miejsca pierwszej i drugiej klasy oraz wagon sypialny i dwie kuszetki jadące z Singapuru do Bangkoku, zajęli podróżni zawczasu zapobiegliwi i ci, dla których pieniądze liczyły się mniej niż wygoda.

Niektórzy zdawali się nie odczuwać tej uciążliwości. Malajowie, Hindusi, Tamilowie i Chińczycy, z których większość jechała do Hat Yai po towar do swoich sklepów i straganów, zajęci najpewniej byli, każdy w swoim własnym języku, rozmową o polityce, o cenach krewetek na mokrym targu w Taipingu, ot dla zabicia podróżnego czasu.

Europejskich turystów z pewnością ciekawiła przyroda - gęstwina zieleni wspinająca się ponad dachami mijanych w pełnym pędzie chłopskich chałup; owocujące o tej porze roku drzewa mangowe; niezmiernie zieleniąca się w promieniach słońca, wydana na pastwę tej lśniącobiałej kuli dżungla, której głębię pokonać mogła tylko lotna wyobraźnia. Rzeki, azjatyckie rzeki, nad których mętną, koloru miło wodą pociąg przemyczał po żelaznych, rudoszarych, rdzawych mostach. Urodzajne, pokryte taflą obfitej w życie bakterii wody pola ryżowe, na których, brodząc po kolana, pochylały się całe rodziny, od starców po wyrostków, od permanentnie zgarbionych kobiet po wciąż zwinne dziewczęta. Stacyjki z jednym peronem i chatą jak z piernika, u której progu stał zawiadowca z zielonym i czerwonym lizakiem, a obok niego czereda małych obdartusów, liczących w pędzie wagony i łapiących grymas moich ust i zmarszczek wokół wrzecion, gdy wychylałem za okno głowę.

Kilka osób drzemało odsypiając nieprzespaną noc, podróż samolotem z Australii, z Europy, pociągiem z Singapuru lub z Kuala Lumpur; inni czytali ogromne, rozłożone na kolanach

płachty miejscowych gazet, jeszcze inni - turystyczne przewodniki, szukając miejsc noclegu, miejsc ciekawych, miejsc, w których można się pożywić, napoić, zabawić.

Od czasu do czasu środkiem wagonu pomiędzy ławkami przechodził konduktor, by po raz kolejny sprawdzić bilety, lub konduktora pomocnik, by mopem na grubym kiju o długich, szarych od błota sznurkach rozmazać kurz na podłodze. Jasnobrazowe, czyste, jakby przed pięcioma minutami wyprasowane mundury złościły się na pagonach i krótkich rękawach służbowymi insygniami i mieniły się nad kieszeniami baretkami państwowych odznaczeń. W ich jasnoczekoladowych twarzach kryła się maska urzędowej godności w służbie Jego Królewskiej Wysokości.

Jednak już w tych pierwszych chwilach i minutach, patrząc na Tajów, opartych łokciami o szlabany na szosach, stojących okrakiem na archaicznych rowerach, ocierających pot z czoła na gankach chat, dostrzegłem w nich wolność, o której nieomal zapomniałem w Penangu. W Penangu ludzie zdają się być matowi, zuniformizowani, ostrzyżeni na jedną i tę samą modłę, odziani w ubogą paletę kolorów i stylów, jak gdyby brakło im nie tyle fantazji, co odwagi, by w tłumie podkreślić swą wyłączną indywidualność. Jak gdyby w bujnym i zagmatwanym ich życiu jakaś społeczna siła wzięła osobowość w sztywne ryzy i szablony, stawiając ich rzędem jak manekiny w sklepowej witrynie. Widząc zaś Tajów, pomyślałem o Australii, o Ameryce, o tych wszystkich przebierańcach na Kings Cross i na wzgórzach Berkeley, którzy koją się swą zwyczajną odmiennością. I pomyślałem wtedy o sobie, jak bardzo zmieniłem się przez te wszystkie lata za oceanem...

Nim się spostrzegłem, pociąg wtoczył się na peron stacji w Hat Yai. Z wagonów wysypał się tłum podróżnych; kupcy z pustymi plastikowymi torbami w czerwono-niebiesko-białą kratę, jakich pełno na wszystkich bazarach świata, udali się wzdłuż ulicy Thamnoonwithi w kierunku głównego w mieście targowiska; "Francuzi", jak nazywa się w Tajlandii turystów europejskich, pobiegli z wywieszonymi ozorami w poszukiwaniu noclegu lub raczej, zważywszy porę dnia, pokoju hotelowego, który tymczasem posłużyłby jako przechowalnia bagażu.

Wyszedłem przed budynek dworcowy, gdzie zebrało się natychmiast zbiegowisko. Taksówkarze jako pierwsi otoczyli mnie kołem, oferując dowóz do najbliższego hotelu Asia, który, jak się potem okazało, ani nie był najbliższy, ani nawet dla turystów o moim wyglądzie. Płaciła za to dyrekcja taksówkarzom najwyższą prowizję od sprowadzonego łebka.

Przezornie odpędziłem horde, lecz zaraz przyłączyli się do mnie czyścibut z fryzjerem, których specjalności domyśliłem się po trzymany w rękach akcesoriach.

- Nie widzisz, palancie, że noszę sandały? - wycodziłem po polsku.

Następnie podszedł pimp i przekładając karty albumu z fotografiami, recytował cennik: dziewica tyle a tyle, dwudziestolatka tyle, matka z córką tyle a tyle od sztuki.

Gdy uwolniwszy się w końcu od naganiaczy, ruszyłem chodnikiem pod arkadami, ulica okazała się wąska, ruchliwa, zalatująca odorem spalin i głębokich, przeciwmorsunowych rynsztoków, w których zamiast deszczowej wody płynęły pomyje i sztywne myszy. Na chodniku topił się lód ze straganów, którym okładano rybom głowy, by nie śmierdziały tak przejmująco rybami. Co kilka kroków zaczepiali mnie stojący na progu sklepikarze i

zebrały dzieci; za szybą w studiach masażu siedziały dziewczęta jak w poczekalni u doktora, w ciasnych sukienkach na trzy czwarte pośladków, na których jak śmieszki widniały przypięte agrafką na piersiach kolorowe krążki z ceną.

Dźwigając plecak doszedłem do schroniska Luise Guest House. W recepcji za kontuarem stała młodziutka, zdawało się, Chinka, lecz ciemniejszej karnacji od Chinek, które dotąd widziałem. Odpowiedziałem uśmiechem na uśmiech, po czym spojrzałem na nią ufnym wzrokiem, licząc na to, że wytarguję odpowiednią cenę.

Wytargowałem. Mijając na wszystkich ścianach portrety królewskiej rodziny, weszliśmy na czwarte, ostatnie piętro; spod jej kusej sukienki wylaniały się uda aż po odbłaskową na ciemnej skórze biel G-stringów. Na schodach i korytarzach mnożył się tłumek mężczyzn wszelakiego koloru twarzy i w przeróżnym wieku; drzwi do pokoi otwierały się tak szybko, jak zamykały; na czwartym piętrze, przez ścianę z cienkiej, azbestowej płyty dobiegł krzyk rozpustnej rozkoszy.

Mój pokój był mały, ledwie było w nim przejście pomiędzy łóżkiem king size a oknem z jednej strony i ścianą z lustrem po drugiej, lecz z łazienką i niezastąpionym wiatrakiem u sufitu. Dziewczyna zaraz wiatrak włączyła, a ja rzuciłem się na łóżko, sprawdzając jego miękkość, i na łóżku leżąc patrzyłem na rozpędzające się śmigła.

Stała na progu i czekała. Podniosłem się po chwili i wydobyłem z kieszeni kilka tajlandzkich banknotów, które wymieniłem, jeden do dziesięciu, w kantorze na stacji w Butterworth. Obruszyła się. Zaprotestowała. Byłem pewien, że robi to dla dobrego tonu, lecz skądże, nie chciała ani pieniędzy, ani nawet paczki zagranicznych papierosów.

Przeciwnie, z szafki przy łóżku wyjęła kilka puszek piwa.

- To na wypadek, gdyby męczyło cię pragnienie. Prezent dla nowych gości.

- Nie piję, ale dziękuję za miły gest.

- Pójdę już. Gdybyś czegoś potrzebował, będę w recepcji...

Nie ruszyła się jednak. Pod sukienką brązowiły się drobne sutki i jaśniała trójkątna biel chuci.

- Jak masz na imię? - zapytałem widząc, że nie odchodzi.

- Wai Hen.

- Co to znaczy?

- "Wai" znaczy "sprytna", "Hen" - "na zawsze".

- Piękne imię. Twój ojciec musiał być bardzo szczęśliwy... Pewnie jest w moim wieku.

Podeszła bliżej, stała chwilę dotykając kolanami łóżka i przeszywając mnie wyuczonym anielskim wzrokiem. Potem zdjęła przez głowę sukienkę i położyła się obok. Miała małe, sterczące piersi i płaski brzuch. Uśmiechnęła się tak, że uśmiechnąć się cieplej i smutniej zarazem chyba nie można. W tym uśmiechu zawarła całą swoją niemoc, niemoc bezbronną, niemoc bezsilnego milczenia. Z nagłą w pokoju zapadła niesłychana cisza. Świat głuchoniemych musi być nie do wytrzymania. Walczyłem z pokusą, tocząc swój maniacki monolog, wałkując myśli samopas, patrząc, patrząc na smukłą i piękną. Lecz jakimś cudem pomyślałem o AIDS i odsunąłem się na przeciwległy brzeg łóżka.

- Nie uznaję seksu za pieniądze.

- Przepraszam, nie wiedziałam. Dojrzały biały facet w Hat Yai znaczy dla nas tylko jedno.

- Jak chcesz zarobić, możesz być moją przewodniczką. Przynajmniej odczepią się pimpy na ulicy.

- Muszę pogadać z bossem.

- Pogadaj. Będę tu co najmniej dwa dni. Ile zarabiasz dziennie?

Nie odpowiedziała. Usiadła na brzegu, zwrócona do mnie plecami, kusząc jeszcze swym butelkowym kształtem, za którym wodziłem tęsknym, samczym wzrokiem, lecz po chwili ubrała się i odwróciła ku wyjściu. Potem wolno, bardzo wolno jak w mydlanej operze znikła zamykając za sobą drzwi. Usiadłem na łóżku. Z łazienki za ścianą dochodziły odgłosy kąpieli. Rozpakowałem plecak i poszedłem do swojej łazienki. Woda zimna, zimna, bo ciepłej wody w tajlandzkich schroniskach po prostu nie ma, zmyła ze mnie podróż. Długo goliłem potem twarz przed lustrem i czyściłem zęby szczotką twardą jak do butów, i po jakimś czasie, ocucony, owinięty ręcznikiem w pasie, wróciłem do pokoju. Woda ociekała na drewnianą podłogę, na której zostawiłem ślady stóp od drzwi do łóżka. Położyłem się opierając głową o ścianę.

Chaos. Człowiek coś robi, do czegoś zmierza... opętuje mnie nicnierobienie, udreka nudów. Lecz rzeka też nie pyta, po co płynie, a płynie - to mój ulubiony w cieleństwie Grzegorz Musiał ze swym "Stanem płynnym", który naśladowałem pisząc pamiętnik "Śmietnik zdarzeń", lecz nijak nie mogłem zdobyć się na odpowiedni tytuł: śmietnik na pewno, lecz czego? Zdarzeń? Marzeń? Wrażeń? Sparzeń? Wszystkiego tam było po trochu, jak teraz, prawie dwadzieścia lat później.

Wtem rozległ się głuchy, tępy huk za oknem. Nie od razu podeszedłem, by je otworzyć i zobaczyć, co się stało. Lecz po chwili dobiegły krzyki, nawoływania, a jednocześnie tupot stóp na korytarzu i schodach. Wstałem z łóżka i gdy nacisnąłem klamkę u okna, pękła ona u samej nasady tak, że kostkami palców wyrznąłem jak w tarkę do marchwi w drewnianą framugę, z której ostrymi płatkami łuszczyła się farba. Wcisnąłem pięść pod pachę, krzywiąc się z bólu, i przysunąłem twarz do szyby. Cztery piętra niżej, na podwórzu przypominającym dno studni europejskiej kamienicy, wrzało jak w ulu. Ludzie krzyczeli coś po tajsku, wymachiwali rękami, ich głowy falowały jak jakiś podwodny czarny kwiat z pustą w środku jamą. Na betonie, wśród owych falujących głów, leżało zgięte w nienaturalnej pozycji ludzkie ciało. Tłum gęstniał i gęstniał, poruszał się coraz burzliwiej jakby targany wodnym prądem, a ja manipulowałem scyzorykiem przy odłamanej klamce. Wreszcie zrezygnowałem i wróciłem na łóżko.

Dopiero w południe, gdy zszedłem do recepcji, Wai Hen powiedziała mi, że był to Australijczyk imieniem Darryl. Mieszkał w schronisku od pół roku. Najpewniej skończyły mu się pieniądze. Szalał trochę ponad stan, to fakt, właściwie nigdy nie trzeźwiał, ale też nigdy nie był tak naprawdę pijany.

- Dziewcząt zaliczył chyba z osiemdziesiąt - spojrzała na mnie, jak gdybym był jej pimpem albo co najmniej wtajemniczonym w arkana zawodu przyjacielem. - Dziwisz się? Mają u nas jak w bajce. Jesteśmy im oddane jak nikt inny na świecie. Niestety, nie wszyscy rozumieją, że w życiu należy zachować równowagę. Jeśli włożysz serce w jedną pasję i tej pasji zabraknie - zginiesz marnie. Biedny Darryl zapomniał o tym, więc wreszcie nie zostało mu nic innego jak tylko skoczyć.

- A ty? Nie boisz się tego dnia, gdy i tobie nic więcej nie zostanie?

- Ja? Ja utrzymuję całą rodzinę na wsi pod Songkla. Rok temu sprzedał mnie ojciec, bo jestem najstarsza. Mam dwie młodsze siostry, które pracują w ryżu. Nie chcę, by musiały kiedyś robić to samo.

- Nie boisz się HIV? Tajlandia to pierwszy kraj na świecie. A twoja matka? Ona tego nie

robi, prawda? Nie chcesz mieć męża i dzieci? Normalnego życia?

- Hej! Czy ty przypadkiem nie chcesz zbawić świata? Spiesz się, bo jedna trzecia ludzkości przymiera głodem, możesz nie zdążyć - w jej ślicznych, prawie czarnych oczach zaiskrzyła się jadowitość, jak gdyby chciała zakrzyknąć: "Nieprawda, nieprawda, że Tajlandia przoduje w prostytucji!"

Taką przynajmniej rewelację można przeczytać w oficjalnym przewodniku rządowej Komisji Turystyki. Pierwszy jest Tajwan, drugie Filipiny. Dla tych dziewcząt w Hat Yai często nie ma alternatywy. Dobrowolnie lub sprzedane przez rodziny, opuszczają okoliczne wioski, w których w najlepszym razie spędziłyby życie pochylone na polach ryżowych, i w hotelach, samochodach, wynajętych bezokiennych kantorach zarabiają na siebie, pimpów, rodziców oraz na młodsze siostry, które wcześniej czy później także przyuczą się do zawodu. Od połowy lat pięćdziesiątych prostytucja jest zakazana, lecz nie zniechęca to całej armii kobiet, dziewcząt i chłopców oraz milionów ich klientów. Z domów publicznych korzysta, średnio dwa razy w miesiącu, trzy czwarte nieżonatych Tajów, a trzy czwarte zbadanych w 97 roku prostytutek było nosicielkami wirusa HIV. Rząd obwinia stacjonujących tutaj podczas wojny wietnamskiej żołnierzy francuskich i amerykańskich, lecz oni spowodowali tylko wzrost cen i wyodrębnienie się elity dziewcząt, które jak piękna Wai Hen wysławiają się po angielsku.

- To co, zatrudnisz mnie? - odkryła nagle w uśmiechu szarobiałe zęby. - Boss się zgodził. - Wymieniła cenę.

Zapłaciłem. Znikła na zapleczu i parę minut później przekazała recepcję koleżance. Wyszliśmy na ulicę. W strugach ulewy pędziły taksówki put-put, minipółciężarówki suzuki i daihatsu, z dwiema ławkami wzdłuż paki pod celofanowym baldachimem, bryzgając błotem na parę metrów. Chodniki pod ciągnącymi się w nieskończoność arkadami były jednak suche.

W jednej chwili Wai Hen stała się przewodniczką. Starła się opowiadać o historii miasta, lecz albo niewiele wiedziała, albo historia była nudna, bo tak jakoś niemrawo jej wychodziło. Co chwila, jak w drodze z dworca do schroniska, zaczepiali nas sklepikarze, dzieci i - mimo wszystko - pimpy. Wśród azjatyckich twarzy czasem wyróżniały się europejskie, raczej kaukaskie rysy - zwykle, tak, najczęściej dwaj-trzej faceci, koniecznie po czterdziestce, wypasione, rumiane gęby, głośne dla animuszu rozmowy, gardłowy, męski śmiech... Większość wróci do swych fabryk w Hanowerze, Lionie, Nicei, Perth i będzie w szatni na lunchu opowiadać jarającym się kumplom, że Tajki mają jak naparstki. Czasem mierzyły mnie wzrokiem Europejki w towarzystwie mężów, wzrok przenosząc zaraz na buzię Wai Hen, po czym znów na moją rumianą, wypasioną gębę.

Skręciliśmy w jedną z bocznych, mniej ruchliwych, lecz równie długich jak Thamnoonwithi ulic. Wai Hen niezbyt chętnie zgodziła się na to. Trudno się dziwić: w cuchnącym odpadkami i uryną tunelu pomiędzy stuletnimi kamienicami hulają dusze umarłych. Jest to Aleja Umierających.

Wai Hen powiedziała, że jest nowoczesna, śmieje się mówiąc o zabobonach staromodnych Tajów. Daleka jest od przesądów, lecz wobec śmierci wszyscy jesteśmy bezsilni. (Poczułem pot na jej dłoni.) Wszak śmierć jest bezpośrednią konsekwencją narodzin, śmierci nie należy się bać. Co innego umarłych, gdyż umarli zwiastują nieszczęście w rodzinie.

Szliśmy chodnikiem mijając kolejne, szeroko otwarte bramy do sklepów pogrzebowych. W środku panował półmrok. Półmrok i zaduch, bijący na zewnątrz zapach kurzu, pajęczyn, naoliwionego drewna, trumien, tłących się w ołtarzykach patyczków na szczęście. Na progu jednej z bram stał stary Chińczyk, właściciel warsztatu wyrabiającego z papieru istne cuda: atrapy mercedesów, pałaców, złożonych banknotów, których w Piekło nie powinno zabraknąć. Ludzie w Hat Yai zamiast do Czyśćca wędrują na pierwszy poziom Piekła; od tego, jak bardzo zgrzeszyli za życia, zależeć będzie pokuta. Niemowlęta trafią od razu do Nieba, starsi na odpowiedni dla siebie poziom, skąd zmartwychwstaną w kolejnym wcieleniu na ziemi. Człowiek rodzi się, by cierpieć. Dopiero w Niebie spotka go anielskie życie wieczne.

W bramie obok nie było nikogo. Zajrzeliśmy do wnętrza. Pośród ozdobnych trumien, ustawionych jedna na drugiej, na rozkładanym krzeselku siedział pryncypał. Widząc młodą Chinę w towarzystwie długonosego, leniwie przymknął oczy, by powrócić do swej codziennej drzemki: tym razem biznesu nie będzie. Sprzeda dzisiaj dwie, może trzy trumny. Przyjadą krewni umierającego, dziesięć, dwanaście osób, i przez godzinę będą wybierać i dyskutować, oglądać i dotykać. Na koniec wynegocjują cenę. Niekiedy syn przywiezie ojca, aby mógł on wybrać dla siebie ostatnie w tym życiu posłanie. Starzec umieści potem trumnę na podium w osobnym pokoju w domu rodzinnym, obłoży ją atrapami, ustawi na czerwono-złoty talerzykach piramidy styropianowych gruszek, pomarańczy i jabłek. Zamknie pokój na cztery spusty i cierpliwie będzie czekać. Najzamożniejsi umrą w tym pokoju, najbiedniejszych rodzina odwiezie do Domów Umierających. Nieszczęście domowi przyniesie ten, kto umrze w sypialni, w pokoju gościnnym, w kuchni.

Zatrzymaliśmy się przed jeszcze jedną kamienicą. Wai Hen nie czuła się najlepiej, wolałaby nie wchodzić do środka. Był to Dom Umierających. Jednak weszliśmy. Ciemny korytarz prowadził z bramy do długiego pomieszczenia przypominającego zagracony warsztat kowalski, raczej przedsionek Piekła. W trzech szeregach stały żelazne łóżka, na których poruszały się koce i prześcieradła. Trudno uwierzyć, że w tych warunkach umierają ludzie.

Była to pora lunchu. Siedząca na najbliższym łóżku stara kobieta trzymała w rękach aluminiową miseczkę wypełnioną ryżem. Pokręcone reumatyzmem palce zagrybały białą masę i po dłuższej chwili trafiały do dziury pomiędzy kością podbródka a nosem. Dziura zamykała się i czubek nosa ocierał się o podbródek, palce wciskały się ponownie w masę w miseczce. Trzy posiłki dziennie kosztują 80 bahtów, plus łóżko, względnie miejsce na trumnę, plus miednica, kaczka. Razem 130 bahtów. Pokój w tanim hotelu kosztuje 160, czyli osiem dolarów.

- Ci ludzie nie chcą umrzeć w domu. Ani w szpitalu - powiedziała Wai Hen.

W szpitalu panuje nieprzyjemny zapach, poza tym w szpitalu za łóżko biorą więcej i nie pozwalają wstawić trumny. Niektórzy czekają tutaj na śmierć kilka dni, inni całe tygodnie, bywa, że nawet miesiące, gdy znachor przedwcześnie postawi diagnozę. Pomyślałem o Darrylu, którego zwłoki polecą w cynkowej trumnie do Australii, choć wybrał on przecież Azję na cmentarz. Rozdzwonią się telefony, pójdą w ruch faksy i o ciele samobójcy zdecydują międzypaństwowe umowy...

Wai Hen nie wytrzymała półtrupiej atmosfery tego domu. Dla zaczerpnięcia tchu wyszliśmy na ulicę, o której najstarsi w Hat Yai powiadają też czasem: Aleja Wiecznej Szczęśliwości.

Poszliśmy dalej, obarczeni obowiązkiem rozmowy o niczym: ona - bo zapłaciłem, ja - bom przyjemniaczek z dobrego domu. Zamilkliśmy dopiero przed budynkiem Siam Commercial Bank na ulicy Drugiej Nithat Uthit, który wyglądał jak krwistoczerwona truskawka z zieloną szypułką, pośród szarego ubóstwa. To ubóstwo, wszak całe ubóstwo Hat Yai odbijało się w liliowych lustrzanych szybach, jak czerwona róża na czarno-białym filmie Spielberga, w rumowisku i na gruzach. Marmurowa kolumnada nad wejściem głównym, granitowe schodki, złote framugi niczym perłowe implanty w bezzębnej gębie. Wai Hen zerknęła na mnie i uśmiechnęła się durnowato, dumna z tej pysznej elegancji. W środku siedem pustych, zakratowanych okienek, natomiast przy ósmym, w rogu sali, kłębowisko jak w kolejce do trumny Lenina. Złożona z głów i barków ludzka żmija wiła się ciasno aż do drzwi wejściowych. W rękach ściśnięte książeczki czekowe, wypełnione rachunki wpłat i wypłat, pisemne prośby o pożyczkę. Przy drzwiach ochroniarz z drewnianą kolbą wielkiego rewolweru, wystającą spod pachy. Kula z takiego rewolweru zrobi ci w mózgu biegunkę. Nic tak nie boli w ubóstwie jak cudze bogactwo. Jak jesteś biały, jesteś bogaty, i patrzą na ciebie, jakby chcieli ci wbić w serce paznokcie. Stoisz w tej kolejce i myślisz, czy cię nie upolują. Sześćdziesiąt tysięcy bahtów, które miałem odebrać z Australii, to istna fortuna, japoński motocykl stopięćdziesiątka, marzenie tajskich chłopców.

Minął kwadrans, potem drugi. Wai Hen, patrząc na krajanów, miała minę idiotki, która zdawała się krzyżeć: "Oto mój europejski mężczyzna! Nie jestem dla niego kurwą!"

- Zabiorę cię do domu, chcesz? - powiedziała.

- Czemu nie. Ciekaw jestem, jak mieszkasz.

Staliśmy w kolejce jeszcze jakiś czas, po czym Wai Hen przetłumaczyła słowa kasjerki:

- Masz numer przekazu?

- Tak, mam tutaj - wyjąłem notatnik.

- Potrwa to około pół godziny - tłumaczyła. - Trzeba wykonać telefon do Western Union w Bangkoku.

Odeszliśmy od okienka. Po chwili zjawił się menedżer i płynną angielszczyzną zapytał:

- Życzą państwo sobie kawy lub herbaty? Może ciasteczka? Proszę za mną - nie czekając na odpowiedź, poprowadził nas do małej salki za kuloodpornymi drzwiami. Wai Hen cieszyła się, jak gdyby zaproszono ją na królewską audiencję. Po dwudziestu minutach nadszedł faks z Bangkoku i menedżer odliczył kupkę banknotów. Parę minut później wyszliśmy przed budynek i udaliśmy się do domu.

Dom dzieliła Wai Hen z trzema dziewczętami, które były w tym czasie nieobecne, dwie w pracy, trzecia z wizytą na wsi. Właściwie była to połowa chaty z malowanymi okrętową brązową farbą płyt pilśniowych, zawieszonych na drewnianych palach, wbitych w dno rzeki przy samym brzegu. W oknach nie było szyb, a w pokojach żadnych mebli oprócz paru staroświeckich gratów. Za takie graty melbourneńczycy płacą na Chapel Street krociowe kwoty. Byłeś ostatnio na Chapel Street? Widziałeś już Chapel Street? Po Chapel Street kręcą się w tę i wewtę paniusie wybrzydając.

W rogu głównego pomieszczenia siedział Budda, obłożony czerwono-złotymi talerzykami. Zbliżał się Nowy Rok Księżycowy, owoce owinięte już były, każdy z osobna, czerwoną krepą. Wai Hen raz jeszcze podkreśliła, że jest nowoczesna:

- Dobrze, że to tylko pomarańcze i gruszki, a nie winogrona i ryż. Jestem niewierząca, ale wiesz, tradycję wynosi się z domu... - próbowała pokryć zawstydzenie nieśmiałym uśmiechem. - To znaczy mój ojciec przestał wierzyć, gdy wszystko przegrał w kasynie. "Ja

w ciebie wierzyłem", krzyczał do niego, "a ty mnie tak porzuciłeś!" Cisnął weń butelką po whisky. Wtedy zaczęła wierzyć matka, bo sąsiedzi mówili, że ojciec przegrał, gdyż właśnie nie wierzyła.

Wyszła do kuchni, a ja usiadłem na ruchawej kozetce, w której urwaną nogę dziewczęta zastąpiły kostkami nierówno urzniętego drewna. Wróciła po chwili, wnosząc mosiężny, w kształcie świętego słonia w złoty deseń dzbanek z herbatą i maciupęńkie filiżanki.

- Jak chcesz, możesz tu na razie mieszkać. Więcej miejsca niż w schronisku, no i przyjemniej ci będzie - powiedziała, lecz nie widząc mojej reakcji, podeszła do telewizora i nacisnęła wielki klawisz. Na bladokolorowym ekranie mignęły sylwetki jakichś żołnierzy, po czym nastąpiło powolne zbliżenie kilkunastu ludzkich zwłok przykrytych kocami. Wai Hen zauważyła moje zainteresowanie, odczekała chwilę, wsłuchując się w dziennikarski komentarz, i powiedziała:

- To Myanmarczycy. Zostali schwytani na próbie przejścia granicy.

- Schwytani?

- Prawda, zastrzeleni. Ale tak powiedział spiker - zamilkła na moment, po czym dodała: - Pewnie nie wiesz, że Luise Guest House to także punkt przerzutowy dla Myanmarczyków. Przyprawdzają ich przewodnicy z północy i odbierają ci z południa, z Malesji. Na południu nikt nie strzela.

Na ekranie ukazała się jakaś przepyszna ociekająca złotem komnata, a po chwili okulary na nosie króla, podpisującego jakieś papiery. Potem klepiące jedna w drugą dłonie jakiejś świty, jakieś mundury, pewno generalskie, złoto i srebro gwiazd na piersiach pełnych tchu i racji stanu, błękitno-czerwone szarfy, generalskie żony z wysokimi fryzurami.

- To Jego Wysokość Rama IX z dynastii Chakri, najdłużej panującego rodu w historii Tajlandii! Zobacz, jaką ma piękną twarz!

- Mężczyzna nie musi być piękny, zwłaszcza król. Ma być mądry.

- Ależ on mądry jest, mądry i także piękny! - posypała się litania dziewczęcych zachwyków, więc tylko nastroilem uszy.

Ubiegłego grudnia, o czym skrupulatnie doniosła prasa w Malesji, policja w Hat Yai aresztowała jakiegoś ulicznego handlarza, który posiadał czterysta kaset wideo z hollywoodzkim filmem "Anna i król", zakazanego w Tajlandii z uwagi na "antykrólewskie" żarty, jakie Judie Foster, nauczycielka, robi pod adresem Chow Wuen Fatta, króla. Najwidoczniej Bhumibol Aduyladej poczuł się dotknięty tym "antytajlandzkim" filmem, bo owego handlarza skazano na siedem lat więzienia, i to bynajmniej nie za rozpowszechnianie pirackich kaset.

Aduyladej zatroszczył się o swój majestat także wtedy, gdy żarty na temat jego żeglarskich zamiłowań czynił publicznie jeden ze znanych intelektualistów, Sulak Sivaraksa. W 1991 roku nazwał on króla skiperem, po czym został aresztowany, a następnie warunkowo obdarzony królewskim ulaskawieniem. Jednakże miał niewyparzoną twarz, bo wkrótce rodzinę królewską nazwał "zwykłymi ludźmi", za co tym razem skazano go na banicję. Wrócił wprawdzie po kilku latach, lecz milczy, gdyż wisi nad nim niewykonany wyrok więzienia, tak na wszelki wypadek, gdyby znów przyszło mu do głowy udawać Woltera.

- Nie pijesz herbaty? - spytała Wai Hen.

- Piję, piję. Smaczna jak z Mekongu - aby nie być gołosłownym, umoczyłem usta w gorącym płynie.

- Zaczekasz chwilę? Wezmę szybki prysznic.



Dałem jej potakujący znak głową. Wyszła do łazienki, zostawiając drzwi otwarte na oścież. I choćbym nie chciał, widzieć musiałem, jak zdejmuje sukienkę i majtki, jak nabiera wody do czerwonego wiadra z dziurami jak sito, jak wiesza ten ciężar na haku pod sufitem i jak obraca się w sikawisku, wyczyniając łamańce, ukazując raz przód, raz tył swego bezwstydnego ciała, które mniej i mniej zdaje mi się kurewskie. Po czym powtarza czynność nabierania wody kilkanaście razy, aż do skutku, to znaczy do chwili, gdy nie wytrzymałem napięcia i wyszedłem przed dom.

Przed chatą wisiał fetor wezbranej po czteromiesięcznych deszczach rzeki i ludzkich fekaliiów. Skłamałbym mówiąc, że w wodzie widziałem ludzkie kiełbasy - nie widziałem, ale pewne jest to, że odchody spływają z kloaki wprost do rzeki pod domem. Toteż dym z papierosa zdał mi się Bosko kojący. Stałem oparty o balustradę pomostu, po którym wchodzi się z ulicy do domu, i o niczym nie myślałem. Tylko dym, szarobłękitny dym, filuterne arabeski dymu, pnące się ku niebu, wdech i wydech, wdech i wydech, cucąca z szaleństwa dawka nikotyny.

Nim skończyłem, Wai Hen wychynęła z chaty, sprawdzając, czy przypadkiem nie odszedłem. Udała, że nic się nie stało, że nic nie zaszło, że wszystko jest tak, jak być powinno. Kto ją trenował? Jak marne ma to dziewczę poczucie wartości. Lecz gdyby zerwała z przeszłością, odcięła raz a mocno to paskudziarstwo od swych prawdziwych pragnień, byłaby wolna, byłaby sobą, a nie kurwą za osiem dolarów, nie publicznym szaletem... Tylko z czego by żyła? Z czego utrzymałaby rodzinę na wsi?

Wieczorem wyślę do Australii list elektroniczny, mój lament, moje majaczenia, że boję się Tajlandii, że boję się oddychać, że boję się żyć. „Człowieku”, odpisze po paru godzinach adresat, „ty musisz natychmiast wracać do domu. Ja się o ciebie boję, ty z wolna tracisz zmysły!” Nie mam domu! Nie mam dokąd wrócić. Wieczorem będę leżał w ciemności na łóżku, wsłuchując się w szmery w schronisku. Usnę dopiero nad ranem, gdy za ścianą z cienkiej, azbestowej płyty umilkną odgłosy pohukujących jak para goryli jakiejś Tajki i jakiegoś Europejczyka.